

O siedmiu duszach kobiety

Autor tekstu: **Stanisław Wasylewski**

Staje mi czasem przed oczyma ta prosta, odwieczna, a jednak nieprawdopodobna prawda: Oto człowiek, który „ziemię przemierzył i głębokie morze,” człowiek wiedzący "jako wstają i zachodzą zorze," człowiek, który wynalazł radiotelefonję, samoloty bez silnika i znakomite konserwy ananasowe, kuchnie gazowe, skarpetki jedwabne, sowiety, narty, podatek majątkowy, maszynę do szycia i dancingi, ten oto człowiek, król świata, wobec problemu kobiety staje zawsze taki sam mądry, jak był za czasów jaskiniowych, kiedy stara włochata wiedźma, okryta skórą ichtjosaury (z którym przedtem zdradzała małżonka), pozamiatała nagle gałęzią jaskinię i urządziła pierwszy na świecie "żur fix".

Tyle tysięcy lat i nie dal rady! Tyle tysięcy lat, a one ciągle swoje! Wodzą za nos świat, historję i nas! I czy Ekklesjasta, czy Marceli Proust, mędrzec z Mahabharaty, czy Anatol France, wszyscy stoją jednako bezradni. Medycyna dzisiejsza umie wstawić człowiekowi sztuczny żołądek i namiastkę serca, w Szwajcarii nauczono się wyrabiać ementalera bez dziurek i skórek, w ślicznych kolistych pudelkach, wogóle ludzkość umiała sobie cudownie urządzić życie. Nauka doskonale radzi człowiekowi, jak ma żyć z tem wszystkim, z tem sztucznym sercem, żołądkiem, z tym ementalerem, więc czemuż u djabła nie potrafi go nauczyć, jak sobie dawać radę z kobietę? . . . Djabelnie głupia, upokarzająca zagadka.

Dusza kobiety pozostaje ciągle czemś tak nieznanem, jak Azja środkowa nieznaną jest profesorowi Ossendowskiemu, jak tabliczka mnożenia nieznaną jest pewnemu społeczeństwu. Przysłowie włoskie powiada, że jedna i ta sama kobieta ma w sobie siedem dusz i jeszcze jakąś ósmą duszyczkę w dodatku. *Le donne g'ha seti anime e un animin*. Nie wiem, czy akuratnie tyle, ale ci Włosi, to jak widać, mądrzy ludzie. Myślałem długo nad prawdziwością tego przysłowia. I wymyśliłem, że z owej siedmiorakiej różnaitości duszy kobiecej płynie chyba zmienna różnaitość w humorze męczyzny.

Poznawszy pierwszą duszę w kobiecie, młody człowiek raduje się, dowiedziawszy się o istnieniu jeszcze jednej, drugiej duszy w tej samej kobiecie, zadziwia się, trzecia zaczyna go niepokoić, przy piątej macha zniecierpliwioną ręką, wołając: a niechże cię wszyscy djabli, odkrywszy szóstą siwieje, po znalezieniu siódmej wiozą go szybko do Tworek albo na Kulparków, zależnie od przynależności dzielnicowej. A cóż w takim razie się stanie z ową ósmą, ową „duszyczką” z włoskiego przysłowia, tajemniczą, jak obraz zasłonięty w Sais?

Kiedyż zdoła młody człowiek dotrzeć do jej poznania, skoro w „międzyczasie” zwarzował. I co go jeszcze spotkać może z chwilą, kiedy ją ogarnie i zrozumie? Strach pisać o tej skórze, jak mówi Klonowicz. Niewiadomo co go spotkać może, bo nie słyszano dotąd o takim śmiałku, któryby dotarł do wrót ósmej tajemnicy i otworzył je naścieżaj.

Jest to zagadnienie jak gdyby z dziedziny czwartego wymiaru. Nawet trudniejsze. Bo przy pomocy trzech wymiarów można sobie wyobrazić istnienie czwartego, ale z jednej duszy kobiecej sądzić o ośmiu?! Mózg pęka. Eheu! Ileż ucierpeli najwspanialszy ludzie na świecie pod obuchem kobiecej niekonsekwencji! Przez wieki, przez wieki! Proh pudor! Jakąż błahą piłką w drapieżnych szponach kobiecego kaprysu byli cudowni arcy mistrza, boscyci mocarze ducha! A ta Troja, a ten nos Kleopatry, a te koroneczki pani Pompadour. I Chopin i Słowacki i Kleiner (tom III-ci). Człowieku, biedny człowieku, jakież to wszystko bolesne, jakie zawstydzające dla całej twojej kultury.

„Jej piękność jako fala, jej oczy ruchliwe, jako rybki pluskające, jej warkocze jako węże wodne, ona cała zaś jest jako potok, w którym toną mędracy.” Tak prawi o niewieście indyjski filozof. Mnie wydaje się inaczej. Kobieta jest jak rzeka. Uregulowana, obwałowana, wzbogaca cywilizację, służy ludzkości, pędzi młyny i turbiny, szumi cicho, nosząc na ślicznie falujących ramionach jachty, motorowe łodzie lub spróchniałe kutery ze starymi żaglami. Nieuregulowana huczy i przewala się, rwie i gryzie brzegi, sprowadzając nieszczęście powodzi. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby problem kobiecej był uregulowany, gdyby istniała rozsądna, profilaktywna nauka, zwana — dajmy na to — kobietologją.

Nauka ścisła, zajmująca się ku wygodzie ludzkości dokładnym obliczaniem tego wszystkiego, co jest w kobiecie nieobliczalne, przewidująca rzeczy nieprzewidziane, odmierzająca niewymierne w duszyczce niewieściej, w jej logice i arytmetyce, słowem nauka,

któraby odkryła bakcył kobiecego kaprysu i ujęta w jakieś prawa i definicje to wszystko, co jest w kobiecie nielogiczne, co grozi naszemu spokojowi rano i wieczór, co nastaje na pogodę i równowagę duchową nas wszystkich, bez względu na to, czy jesteśmy genjuszami, czy matołami, czy zwykłymi sobie ludźmi. I — bez czego istnieć nie możemy. Ileżby np. dał za to pan dyrektor, gdyby miał w piwnicy u siebie, w sekrecie, za ciężkie pieniądze kupiony seismograf, ostrzegający go niezawodnie, kiedy muchy wleżą w nosek pani dyrektorowej.

Powinny istnieć jakieś specjalne termo- czy kobieto-metry, jakieś tablice procentowe i kalkulacje asekuracyjne, czy co u licha. Bo pocóż ma po raz drugi cierpieć na świecie Dante i Chopin i Fragonard? Śliczna pani, ujęta w jakieś stałe i dostępne każdemu śmiertelnikowi normy, mogłaby się stać najrozkoszniejszym darem niebios i miłą ozdoba tego padołu płaczu.

Ale z tego ani śladu. Kobietologia nie istnieje wcale. Niema ustalonych metod badania, ani chętnych adeptów. Taki zaczyna ją z zapałem studjować, gdy się zakocha, a kończy szybko i trzaska drzwiami, gdy się ożeni. I dlatego to człowiek dzięki tej twojej, mojej, naszej i waszej królowej ciągle jeszcze nie jest — królem stworzenia: Ze wszech stron czyhają nań niespodzianki.

Należy wierzyć mocno, że wiedza ludzka posiadzie kiedyś tajemnicę duszy kobiecej tak, jak posiadzie tajemnicę Marsa. Nie sądzę jednak, żeby ta zdobycz miała się koniecznie przyczynić do uszczęśliwienia ludzkości. Osobiście wolę rzekę dziko huczającą, chociaż czyni szkody i wylewy, niżli taką grzeczną, wybetonowaną. „Jeden uśmiech kobiety przenoszę nad wszystkie sztuki piękne” powiedział Maupassant. I ja także.

Lecz przecież dobrzeby było, gdyby istniała już dzisiaj kobietologia. — Właśnie dzisiaj! Tłumaczyłaby nam bowiem, co to się teraz stało i może przepisała lekarstwa. W duszy kobiecej zaszły obecnie doniosłe zmiany. Wiadomo, że kobieta korzysta zawsze z zamięszania. Nietylko w małżeństwie, także wogóle w historii. Korzysta z każdego przewrotu dziejowego, aby umocnić swe stanowisko, rozszerzyć stan posiadania, by „cicho na paluszkach” realizować swoje, ukryte, władcze cele. Tak było po upadku państwa zachodnio-rzymskiego, i po rewolucji francuskiej i po wojnach napoleońskich. Zawsze wtedy rola kobiety zwiększała się i rozszerzały się jej ambicje. Stawała dęba poprostu! Tak stało się i po wojnie obecnej. Kobieta skorzystała z przewrotu i powiedziała sobie razem z Tyrteuszem Bolszewji, Włodzimierzem Majakowskim:

<i>Dosyć</i>	<i>już</i>	<i>żyliśmy</i>	<i>w</i>	<i>glorji</i>	
<i>Praw,</i>	<i>które</i>	<i>dał</i>	<i>Adam</i>	<i>i</i>	<i>Ewa</i>
<i>Zajeżdżimy</i>		<i>kobylę</i>		<i>historji</i>	
<i>Lewa!</i>					

(Naturalnie, że są to sprawy nieuchwytnie dla niej samej i podświadome. Więc gdy Szan. Pan spyta się swojej Szan. Pani, czy to prawda, ona bez zająknięcia odpowie, że ani jej się śni.)

Kobieta lubi sytuacje nadzwyczajne, płynne i nieustalone. Wtedy buja jak ptaszek, śmiga jak rybka i żeruje z rozkoszą. Wśród form stałych, w więzach rutyny życia zanika, chowa się i niby to wędnie. więc wszystko, co w kobiecie wiodło przez całych sto lat 19-tego wieku, to teraz na gwałt kwitnie. Na gwałt. Jakieś w niej zaszły ważne zmiany. Jakie? Nie wiem, bo nie jestem kobietą. Ale i ona sama nie wie, bo nie była nigdy w skórze niewiasty przedwojennej. Spróbujmy zobaczyć w każdym razie.

O małżeństwie z ciekawości

Historja rodzaju ludzkiego uczy nas, że współżycie mężczyzny z kobietę, zwane zazwyczaj małżeństwem, przybierało w różnych czasach różne formy. Były tedy małżeństwa pierwotne, przez wymianę, przez kupno, były później małżeństwa z doboru, z konwenansu, z interesu, były nareszcie, coprawda najczęściej w powieściach, małżeństwa z miłości. W dawnej Polsce jedenaście tysięcy nieszczęsnych dziewczyc opłakiwało gorzko twardą konieczność małżeństwa z przymusu, *mariage forcé*. W naszych czasach wojna przyniosła jeszcze jedną, zgoła nową odmianę: małżeństwo wojenne.

Kiedy na kwaterze frontowej zimno było panu porucznikowi, kazał szybko i bez namysłu zrząbać, w braku innego opału, mahoniowe biurko, albo złoconą ramę *Louis seize* i tem palił w piecu.

Nie martwił się. Bo kto wie, co będzie jutro z nim, z całym światem i z nami. Grunt, aby dziś było ciepło! Potem pojechał na urlop i wedle tej samej prostej metody ożenił się. Szybko i bez namysłu. W braku innego opału. „Taki los wypadł nam, dzisiaj tu a jutro tam.” W atmosferze walącego się starego porządku, wobec tych wszystkich pytajników, pod jakimi

znalazło się całe istnienie ludzkie, można było ostatecznie i jedno i drugie, metodę palenia w piecu i metodę małżeństwa jakoś od biedy usprawiedliwić.

Dziś nikt już nie rąbie biurek mahoniowych, boby go za to wsadzono do kryminału, natomiast jako miła pamiątka po epoce burzy dziejowej pozostały nam wojenne małżeństwa. Zawierają się ciągle dalej, szybko i bez namysłu, choć wojna dawno minęła. Są wygodne, łatwe i przyjemne. A ponieważ straciły swą drażniącą emocję frontową: wróci, nie wróci? przyjedzie, nie przyjedzie? — przeto uzupełniono je i urozmaicono. Romantyczny marjaż wojenny przybrał nową formę i zowie się dziś — małżeństwem z ciekawości.

Małżeństwo jest to związek wieczysty, ależ naturalnie! Dwie dusze rozkochane tworzą po śmierci jednego ślicznego anioła. Rozumie się, i owszem. Czasami jednak zdarza się, że zły los wykopie czarną przepaść między „tymi dwojgiem,” że na drodze wspólnej doli stanie im jakaś nieodparta, żywiołowa, silniejsza od człowieka konieczność. Naprzykład: Młoda dwumiesięczna męzateczka idzie ulicą, promieniejącą szczęściem Zosi z 13 księgi "Pana Tadeusza", na pierwszym rogu ulicy spotyka pierwszego z brzegu bubka, bubek robi do niej „oko” i — fajt! już niema małżeństwa. „Taki los wypadł nam, dzisiaj tu a jutro tam.” Zosieńka z 13-tej księgi „Pana Tadeusza” wzięła i uciekła. Z bubkiem? Phi, koncept z kalendarza. Uciekła bliżej — do bubka.

- Chryste Panie! ptaszyno, a więc już koniec twojego małżeństwa?

- Kooniec? Toż dopiero początek. Teraz albowiem zaczniesz się uganianie z wywieszonym językiem. Od prałata do adwokata, od baptystów do metodystów, od marjawitów do karaitów, od spirytystów do sadystów.

Poco? djabli dojdą. Wcale bez powodu, bez żadnego rozumnego powodu, ot z prostej, wyostrzonej na kinie, foxtrocie i alraunie — ciekawości. Małżeństwo z ciekawości jest jak wesoly film, o krótkim metrażu. Musi obfitować w liczne, szybko po sobie biegnące „szlagiery.” A jeśli nie? no to pójdziemy do innego kina. Kochają się, jak dwa gołąbki, na całe życie, do samej śmierci, ale patrzą na siebie z pod oka małżonkowie i czekają cierpliwie, kiedy nadarzy się sposobność. Jedyną pono istotnie miłą stroną modnego małżeństwa jest to, że niewiadomo, jak się skończy. Uda się, nie uda się? W tem właśnie chybi-trafi tkwi urok i pointa. Bez ryzyka i bez odpowiedzialności. Przesyłka za pobraniem, której można nie podjąć, obejrzenie towaru bez zobowiązania do kupna. Będzie z małżeństwami wkrótce tak, jak z mieszkaniami. Rzadko które trafi się — bez wyroku sądowego. Zawładnęła mózgownicami jakaś niefrasobliwa i tępa bezmyślność, streszczająca się w trzech słowach: A jeżeli nawet wyszłam zamąż, a jeśli nawet ożeniłem się, to co?

I niewiadomo, czego bardziej brak w tem wszystkim: moralności czy — rozumu? I nie można tu czynić z niczem porównań. Okrzyczana i zbankrutowana przed wojną teoria "wolnej miłości," opierała się bądź co bądź na podłożu uczucia, na głębokich przesłankach etycznych. Przybyszewski biedził się w swych dramatach nad warunkami., pod jakimi może porzucić męża kobieta, kochająca drugiego mężczyznę.

Zapolska? Zapolską można śmiało drukować pod pseudonimem Klementyny Hoffmanowej, śmiało można dziś, w epoce, w której młodziutkie stworzenie słucha starych historyj o trójkącie małżeńskim z takim wzgardliwym uśmiechem, jak dawniej słuchało bajek o bocianie. Małżeństwo nigdy za najlepszych swych czasów nie przestawało być instytucją ułomną, zawsze świadczyło o defekcie urządzeń ludzkich i ziemskich. „. . . Tak, tak. Małżeństwo jest jako czereśnie, najpierw je wróble oskubią złodzieje, a potem człowiek zjada nadgryzione” — powiedział pewien stary kawaler nazwiskiem Juljusz Słowacki.

I dawniej ludzie bywali także młodzi, głupi i lekkomyślni. Moja pani! Boleli i cierpieli nad niedoskonałością małżeństwa, grzeszyli przeciw świętym jego ustawom. Różne rzeczy działy się z małżeństwem w ciągu wieków. Już przed wiekami ten sam mędrzec indyjski, który przyrównał niewiastę do potoku, uważał szczęśliwe małżeństwo za fenomen zgoła wyjątkowy, zaś żonę posłuszną wielbił i obiecywał jej „najwyższe niebo nawet wówczas, jeżeli nie oddawała czci bogom ani kapłanom.”

Różne rzeczy działy się z małżeństwem w ciągu wieków. Pod wozem bywało i na wozie, to w większym, to w mniejszym szacunku, to w większym, to w mniejszym lekceważeniu. Natomiast dzisiaj wystawiono czcigodną figurę na kpiny i pośmiewisko, wyłamano jej żebra, wykręcono stawy, umazano głowę — błotem.

Tuptuś i Mrówcia

Tuptuś postanowił się ożenić. Tuptuś jest to człowiek zupełny i człowiek mądry, więc problem ten nie nastęcza mu poważniejszych trudności. Nastęczał je może potulnym niedorajdom z przedhistorycznych czasów, on zaś jest od nich i mędrszy i bystrzejszy i odważniejszy. Tuptusia nie lekceważmy. Bywali dawniej ludzie „ex libro docti”. Tuptuś jest „doctus ex bello”. Przemierzył w siedmiomilowych butach świat, nauczycielką była mu błyskawica, egzaminatorem przy rygorozum PAC (pułk artylerji ciężkiej, przyp. zecera). Wałące się przed jego oczyma graty, światy i dogmaty, atmosfera umożliwionych niemożliwości, aureola cudów, przychwyconych na gorącym uczynku, wszystko to przebiło mu — być może — w mózgu taką serję komórek, które w człowieku starym drzemały nieczynnie. Tuptuś „rzeźbił swą umysłowość” w sposób skrócony i skondensowany. Kuchnia polowa podawała mu szybko i na zimno obiad z konserw, obiad, który myśmy przed wojną długo pitrasili, dęstowali, smażyli i przyprawiali. Człowiek starej daty byłby się z tego „menu” rozchorował ciężko na żołądek. Tuptuś wrócił, doskonale zdrow.

Gdy zaś parolem dawnych pokoleń był smutek, ujęty w znanem haśle Maeterlincka, Tuptuś mówi sobie: „*Oh! la sottise de tout cela*” i tego pokpiwa z bibliotek, w których leży się całe gromady szczurów przedwojennych. Mój Boże! Czy chodzi zresztą o pożeranie książek? Reymont nauczył nas przecież, że zawiadowca stacji może pod czerwoną czapeczką nosić nagrodę Nobla. Conrad-Korzeniowski chodził do szkoły pod trzecim pokładem statku na Oceanie Spokojnym, Aleksander Fredro kończył uniwersytet nad Berezyną.

Z tem wszystkiem i mimo to wszystko, młody ten człowiek jest znakomitym znawcą duszy kobiecej. Czytał Brantome'a i Tarzana, studjował Ewersa, Einsteina, Eysmonda. Na myślenie o kobiecie i na osobistą obserwację nie miał coprawda i czasu. Miał go ledwie na samą miłość, na „czystą formę” miłości. 20 kopiejek *pochti pour lamour*, jak powiada rosyjska anegdota. Wypadki biegły przecież szybko. Tu wojna, tam Polska, tam znowu wojna, tu pielęgniarka, tu stenotypistka. „Dużo, bylejak i prędko,” jak mówi psalmista.

A teraz ożenił się z Mrówcią. Mrówcia jest mędrszą od Tuptusia. On był *ex bello*, ona jest *docta ex kino*. Przedwojenna ciocia Gucia mierzyła z dumą swą inteligencję na przeczytane tomy, Mrówcia liczy ją na kilometry, wyświetlone kilometry żelatyny. Wiadoma zaś rzecz: Edison uczy prędeży, przyjemniej, łatwiej i dokładniej od starego nudziarza Gutenberga.

Na małżeństwo i na Tuptusia patrzy trzeźwo, jasno, spokojnie. Z życzliwym uśmiechem, nawet bez pogardy. Jest mądrą za wszystkich, za mamusię, za tatusia i za mężusia. Orjentuje się doskonale w możliwościach rozwodowych i zna wszystkie ewentualności prawa małżeńskiego we wszystkich trzech zaborach. [Do roku 1932 na ziemiach polskich obowiązywały trzy różne systemy prawne trzech dawnych zaborców — przyp. M.A.]

I teraz pobrali się. Tuptuś z Mrówcią. Co z tego wyniknie?

Oto oblubieniec, oblubieniec — że tak powiem — głupi, od wszystkich przedwojennych mężów, z nieswojej winy, z niezawinionej konieczności głupszy.

Oto oblubienica od przedwojennych połowic mędrsza.

Nastąpiło fatalne przesunięcie sił na niekorzyść mężczyzny. Mężczyzna (model 1924-5) dał się zdetronizować. Otóż to.

Są właśnie na dancingu państwo Tuptusowie. Mróweczka roziskrzona, wypocona, w tualetcie, która w całości nie starczyłaby na pokrycie małej parasolki, *kemoltroci* się z jakimś sapiącym, aż zielonym z radosnego używania grubasem.

Tuptuś podpira buazerję u wejścia i patrzy tępo i leniwie przed siebie, to na sufit, to na owo dziwne, ludzkie tarło.

Obserwuję Tuptusia i nie umiem wyczytać z jego apatycznej twarzuchny, czy jest on tak dalece naiwny, czy tak bezbrzeżnie obojętny?...

Czy do swojego młodego małżeństwa odnosi się tak, jak małpolud z wyspy Teneryfy do świeżo ujrzanego fortepianu? Małpoludowi fortepian podoba się bardzo, owszem. Nie wie tylko, do czego to służy.

Raz widzi mi się, że Tuptusiek nie wie, o co chodzi, potem znowu myślę, że go to nic nie obchodzi. I ciągle nie wiem: czy ubolewać nad naiwnością młodego człowieka, czy martwić się jego indyferentyzmem?

Kiedy tak patrzę na tańczącą żonę i podpierającego ścianę męża, kiedy ich potem obserwuję w życiu, dochodzę do wniosku, że małżeństwo to jest znakomicie dobrane: Mróweczka posiada w tym samym stopniu maximum lekceważenia dla małżeństwa, w jakim

Tuptusiek ma minimum przygotowania do tej roli. Gdyby on tam pod ścianę nie był taki senny i bezmyślny, spróbowałbym z nim pomówić. I mówiłbym tak:

Tuptusiu! Nie jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Myślisz o małżeństwie źle. Lekko, płócho, wyniośle. Jesteś tępym, zadowolonym z siebie, nieświadomym, niezorientowanym samczykiem. Jesteś śmieszniejszym od wszystkich wołów z baraniami rogami w farsach, od wszystkich zawodowych mężów, wykpiwanych na wszystkie boki przez wszystkie literatury świata. Czy ci nie wstyd? Mróweczka, wiesz już o tem, jest teraz chytrzejsza od każdej swojej, z przestrzeni stu lat, poprzedniczki. Mróweczka jest kwiatkiem, takim ślicznym, wątlm i odurzającym. Wymaga opieki, starania, pielęgnacji.

Tuptusiu! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś dla niej niczem? Czy nie przyszło ci kiedy na myśl, że wypadałoby czasem pomyśleć co nieco o żonie! Mróweczka jest rozczarowana i nieufna. Ty jeden, tylko ty możesz w niej wzbudzić ufność i wskrziesić zamarte uszanowanie dla stanu małżeńskiego. Ty ją masz oduczyć, oddemoralizować, ty masz być jej wychowawcą. Musisz być mądry, przemyślniejszy od nas, przedwojennych cymbałów, bo jesteś, tak los zdarzył i wojna, w gorszej od nas skórze. Mróweczka każdą myśl swoją i twoją „na troje przekąsi” jak to już dawno jakiś Rej powiedział. A ty djabła pierwej zjesz, nim ją zgryziesz.

Małżeństwo to jest sztuka i kunszt. Biada partaczom! Zaśpiewam Ci stara piosnkę, której nie znasz z pewnością:

<i>Kiedy</i>	<i>pan</i>	<i>Adam</i>	<i>raz</i>	<i>znużony,</i>
<i>Pod</i>	<i>wiadomości</i>	<i>drzewem</i>	<i>spiał,</i>	
<i>Myślała</i>	<i>sobie</i>	<i>pani</i>	<i>Ewa:</i>	

Poco jej Pan Bóg męża dał?...

Przez to samo, że chuchniesz na termometr, o młody symplisto, jeszcze nie będzie ciepło w pokoju! Czy pomyślałeś nad tem wszystkim? Jeśli nie, to daruj, ale jesteś smyk i bęcwały I — winowajca!

Obrażony Tuptuś może mnie na to pobić moją własną bronią:

- A . . . a . . . przecież kobieta ma siedem dusz i duszyczkę. Więc cóż można zrobić?

Co można? Dziecino, dużo można. W odpowiedzi na siedem dusz kobiety, powinien jej mężczyzna ukazać czterdzieści twarzy, nie mniej nie więcej tylko: czterdzieści twarzy. To nie jest wcale frazes. Powinien umieć ją zająć, zawsze inaczej interesować, doskonale ołśnić, mądrze okłamać (mądrze!) i jakkolwiekbydź zaciekać, bo przecież wyszła zamąż — z ciekawości.

Małżeństwo to jest sztuka i kunszt. Biada partaczom.

Niech jej się zdaje, że jesteś wytworny, jak księżę Walji, dowcipny jak Chaplin, bezwzględny jak Grabski, barczysty jak Breitbart, że jesteś jej ośrodkiem, cukierkiem, gwiazdką, królem, rodzynkiem, początkiem i końcem świata. Musi się jej zdawać, bo inaczej nici. A gdzie nie możesz przeskoczyć, tam podleż. Żyjemy w epoce przedsiębiorstw samowystarczalnych. Kolejne są już takie i poczta, czemuż nie miałyby być samowystarczalnem małżeństwo?

Ongiś, za dawnych piastowskich czasów ujmowano dekalog, dla łatwiejszego spamiętania, w dwuwiersze. Szóste przykazanie brzmiało tak: „Nie czyń grzechu nieczystego, krom urzędu małżeńskiego.”

Tuptusiu, słodki urzędniku od 6-go przykazania, popraw się z Nowym Rokiem i urzęduj lepiej, dziecko drogie! Bo za swą opieszłą pracę w winnicy małżeńskiej odbierzesz bolesną nagrodę. Ona się spłoszy i ucieknie.

Rozumiem, uśmiecha ci się rozmaitość i rozwód. W tej mierze jednak, podobnie jak w wielu innych sprawach życiowych, trzymaj się doskonałej maksy, uwidocznionej na pudełkach pewnej, podlej zresztą cykorji. Brzmi ona tak: „Pamiętaj Szanowna Pani Gospodyni, że jedynie jakość, a nie ilość może i powinna być miarodajną.” (...)

Studentki

Było to bardzo dawno, przed jakimiś 25-ciu laty co najmniej. Biegliśmy, smarkaci uczniacy, pod starą, już wtedy walącą się wszechnicę lwowską i pokazywaliśmy sobie palcami. Popatrz, popatrz! Placem Akademickim szła ostro pierwsza lwowska studentka. Wyglądała paradnie. Stary Fredro chciał wstać z pomnika i ryknąć śmiechem. Na małym, odpowiednio świecącym i perkatym nosku kołysały się sążniste binokle, z pod smętnej, Boże zmiłuj się, Racjonalista.pl

kapeluszyzny padały wzgardliwe błyskawice na otaczającą gawieź.

Tej pierwszej studentki nie mógł niestety Kornel Makuszyński uwiecznić na wesoło w „Żywocie Pani”, bo nosił jeszcze mundurek gimnazjalny i martwił się dwójami z matematyki.

Potem czasy zaczęły się zmieniać, a z nimi zmieniały się studentki. — Szybko i na awantaż. U pokoleń uniwersyteckich z lat mniej więcej 1902-1914 zostało po koleżankach wspomnienie miłe i szanowne. Wnosiły z sobą jakiś rumiany polot w życie akademickie, promieniowały zapałem w pracy heurystycznej. Pilne, czasem wprost świetne pracowniczki w seminarjach i instytutach, niebezpieczne rywalki przy kolokwjach, były nasze koleżanki elementem użytecznym i przydatnym. Jakoś raźniej dosłuchiwało się do końca nudniejszych wykładów, a już najskwapliwiej korzystało się z świetnych, czyściutko przepisanych notatek. Pycha! Z uroczystą powagą zabierały głos „ze względów zasadniczych,” „w sprawie formalnej” na wszystkich wiecach akademickich. Z reguły dobrze wychowane, traktowane były przez słuchaczy z uszanowaniem, z jakąś (dziś widzę, jak bardzo staroświecką) rewerencją. A potem wniosły w swoje życie zawodowe czy rodzinne dużo rzetelnej wiedzy.

Były — uśmiechem uniwersytetu. Fredro patrzył na nie z cokołu, owszem, owszem, bez irytacji.

Dziś pod pomnikiem twórcy „Gwałtu, co się dzieje” chodzą także studentki. Nieco więcej. Bywa tego co roku z górą, i to z dobrą górą, dwa tysiące.

„Chodzą na uniwersytet.” Chodzą zaiste, marne to słowo! Całe stada i tabuny podlotków pędzą, lecą, gonią w jakimś szale opętańczym, aż trzeszczą bierzma starej rudery uniwersytetu i co gorsza starej, przedwojennej nauki. Od świtu do ciemnej nocy „pętają się” po wszystkich kątach starego i nowego gmachu. Rano tłoczy się to u wejścia na wykład profesora Twardowskiego, popołudniu słucha z tłumionym piskiem rozumowań o mistyce Słowackiego.

Cesie, Krzysie, Julcie, Wandeczki, Maniusie, Danusie, Rachele i Rebekusie. O ile z mniejszości, o tyle w większości. Rozpacz, czarna rozpacz! Widok korytarzów i audytorjów przypomina chwilami do złudzenia kasę kolejową do Brzuchowic w lipcu, śp. ogonek przed sklepem żywnościowym, lub sobotni program w kinematografie. Tłok, zgiełk, prawo pięści i wzajemne życzenia połamania kości. A one dalej idą i idą bez litości. Jakieś to wszystko zabiedzone, nierozwinięte, dziecinne, ponure. Ani się kto do nich życzliwie nie odnosi, ani one do nikogo. Szary, bezbarwny proletarijat. Tamte były uśmiechem uniwersytetu, te są jego — utrapieniem.

Fredro machnął ręką i wcale nie patrzy w ich stronę.

Mówi się już o ostrej pladze, o zalewie, o inwazji dziewczątek na wszechnicy. Podobno stagnacja finansowa, zastój w bankach, redukcja mundantek i stenotypistek, licho wie, co zresztą, kazała pójść tej rzeszy dziewczątek pod okienko kwestury i stać się studentkami.

Najbardziej zagrożony jest wydział filozoficzny. Na prawie, gdzie w roku zeszłym cyfra słuchaczek nie przekraczała 6 proc., i na medycynie, gdzie przyjęto tylko 10 proc., gwarny zalew nie mąci atmosfery pracy naukowej.

Najsrożej dotknięty tem człowiek, liczący na swych wykładach z bólem 70 do 80 proc. pańienek — arcyznawca Słowackiego profesor Juljusz Kleiner ma *malgre tout* ciągle jeszcze dobrą minę. Nigdy nikomu nie był krzyw, więc i do swych słuchaczek odnosi się bez żółci. Lecz boję się trochę, czy powtórzyłyby i obecnie wszystkie swoje twierdzenia ze swej pięknej z przed dwóch lat rozprawy „O wykształceniu akademickim kobiet,” gdzie czytałem m. i.: „Brak słuchaczek odczułyby i profesor i słuchacze jako zubożenie życia akademickiego”...

Sądzę, że mówiąc o studentce najnowszego typu (model 1925) można spokojnie zostawić na uboczu kwestję udziału kobiet w studjach wyższych. Ta sprawa rozwiązana na ich korzyść przestała być chyba dawno „disputable”. Wiadomo, jak nadzwyczajnie, nieomal w oczach, podnosił się poziom kultury umysłowej w Polsce po dopuszczeniu kobiet do wszechnicy. Wiadomo dalej, że kobieta wnosiła i wnosi często w dziedzinę pracy naukowej, cierpliwość, pedanterję, sumiennosc, zalety, które, zdaniem fachowców, dopomogły walnie p. Curie-Skłodowskiej do wiekopomnego odkrycia. Kobiety, chcące pracować naukowo, znajdą zawsze dostęp do wszechnicy i będą nadal jej uśmiechem.

Lecz wszystko to nie należy do rzeczy, bo wszystko to mało naogół obchodzi słuchaczkę z r. 1925. Jest takich dzisiaj może 300, niechby 400, reszta rzeszy dwutysięcznej nie przyszła na uniwersytet po naukę, w idealnym słowa znaczeniu. Tem mniej, niech ktoś nie myśli, po flirt czy rozrywkę. Przyszła z dwóch innych powodów: Najpierw po szybki kawałek chleba.

Wyobrażają sobie dobre dziecinki, że to jest jakaś taka szkoła zawodowa, szkoła znacznie lepsza od rozmaitych „handłówek”, w której przy pewnym ryzyku i wysiłku zdobyć można po 4-

ech latach patent, fach dostać do ręki. — Aby jak najszybciej, aby jak najłatwiej. A niechby kto powiedział tym poważnie, jak widać, myślącym o życiu istotom, że ta ich walka o chleb jest walką przeciw uniwersytetowi i nauce; wypatrzą wielkie oczy i zgłupieją do reszty.

Drugi motyw inwazji panieńskiej na wszechnicę jest gorszy, bo bezmyślny: konwenans. W wyobrażeniu szerokich kół powojennego społeczeństwa uniwersytet uchodzi za przyjemną i użyteczną funkcję życia towarzyskiego. Jest to w każdym razie coś, co wypada, co przystoi kobiecie. I nic łatwiejszego, jak pójść i wpisać się. Z 30-stu abiturjentek pewnej szkoły żeńskiej we Lwowie, cztery tylko nie uczyniły tego: Jedna, bo jest chora, dwie drugie, bo zaręczone, czwarta, bo dotychczas nie mogła się bidusia zdecydować na wybór przedmiotu. Idź-że, ptaszyno, na anatomo-patologję lub na sfragistykę porównawczą. Z pewnością posłucha rady, ale wpięrow musi sprawdzić, czy te przedmioty są w modzie. Bo w zeszłym roku były w modzie z tualet: dżempry i perfumy "Paris," a z wykładów: historia i geografja. W tym roku nosi się zamszowe czapeczki, papuzie włóczkowe skarpetki i chodzi się na przyrodę.

A może, może zamiłowanie jest motorem tych studjów? Również niesposób go dostrzec. Mania była uważana w gimnazjum w Bohorodczanach za znakomitą „*in spe*” kandydatkę do literackiej nagrody Nobla i dlatego czem prędzej wpisuje się na — matematykę ścisłą, Lusja na skutek swych fenomenalnych zdolności przyrodniczych szaleje za Mikołajem Rejem, Kazia rozmiłowana w medycynie, bo, bo wujcio jest lekarzem, Danusia wreszcie od czasu, gdy znudziły jej się dancingi, studjuje prawo. A tym czasem biedna nauczycielka fortepianu pani Przepiórkiewiczowa nie ma wcale uczennic. Wszystkie chodzą na muzykologję! Madame Dulska jest również gwałtowną entuzjastką studjów wyższych. Posłała córuchnę na przyrodę, musiała posłać, bo jak będzie kulfon siedział w domu, to ludzie powiedzą, że czeka na męża. I dlatego teraz ten zabiedzony podłotek, niedorozwinięty berbecz swywoli całe rano w bibliotece uniwersyteckiej. A matki nie można zamknąć dokryminału za naruszenie spokoju najwyższej uczelni. Lecz niechby spróbowała zamącić spokój krawcowi! Boże, ty widzisz i nie grzmisz.

Inny przykład. Mrówcia jest już po słowie z Tuptusiem, ale Tuptuś nie ma jeszcze posady. Co zrobić z dziewczyną? Rada familijna orzeka: „Niech sobie dziecko tymczasem pochodzi trochę na ten uniwersytet.” Zawsze to i lepiej dla tatusia, bo mu dadzą dodatek. I dziecko chodzi sobie trochę na ten uniwersytet. A tu na sanskryt, a tu na astronomję, a tam na etnologję słowiańską. A matka znowu chodzi — wolno!!

Z nich wszystkich tylko jedna Jadzia, moja kuzynka, podoba mi się najlepiej. Ta szczerą i dobrą dziewczyną nie była nigdy na żadnym wykładzie. Wpisuje się tylko na semestry zimowe, aby w karnawale otrzymywać zniżki akademickie na balach. Jadziu! Ty przynajmniej, ty jedna masz zamiłowanie nad nauką polską!

A myślicie, że ten zbłąkany dziewczęcy proletarjat ma słodkie życie na tej wszechnicy. Gdzie tam! I to jest właśnie rzecz smutna. Koledzy prześladują je w sposób niegrzeczny, nierycerski. Panuje wrogi separatyzm płci. Tak, jak w ogonku i przy kasie kolejowej młody człowiek uczy się patrzeć na kobietę z góry, nie ustępować jej miejsca i z tą nauką pójdzie w życie. Już mieliśmy jedno takie pokolenie młodych ludzi, którzy nasiąknęli niegrzecznością w okopach, teraz dorasta drugie, które ćwiczy się w tej sztuce na sali wykładowej.

Co zrobić, jak zaradzić? Chyba trzeba by i jak najrychlej założyć w każdym mieście powiatowem większą ilość „uniwersytetów dla pań” aby ułatwić życie zahukanym wszechnicom polskim.

I czekać, aż miłosierny czas i tę modę odmieni.

W obliczu tajemnicy jutra

Do wielkich rezultatów dochodzi się nieraz w życiu zapomocą małych środków. Tylko trzeba wiedzieć, gdzie i kiedy uderzyć. Tak i ona. Pewnego dnia, o zmroku poszła rączo w odludną i cuchnącą uliczkę, omackiem na ciemne schody, wzięła z sobą głupie 20 złotych. Po godzinie wróciła. *Quantum mutata*. Szła skwaszona, nieszczęsna, wśród westchnień, a wraca jakby nie ta sama. Już wie wszystko, czego chciała. Wie co ją czeka. wykreśliła ze swego słownika denerwujący wyraz: niespodzianka. Zasłonięta wszem wobec, nieogarniona i niewymierna „tajemnica jutra” — dla niej, dla tej pani, spieszącej rączo w odludne uliczki — to pusty frazes. praca promienna i chybka, jak po generalnej spowiedzi życia, pogodzona z losem. Zdobyła horoskop i prognostyk. „Co w myśli, co w głowie, co w sercu, co w słowie...” Jak powietrze z hukiem wdziera się w próżnię, tak w mózdzek paniusi wpadły

prawdy niewzruszone, oślepiające te, których „mędrzec powiedzieć nie może nikomu.” Będzie teraz żyła błogo, jak w śnie somnambulicznym. W oczekiwaniu spodziewanych ciosów. W spodziewaniu bliskich radości. W kręgu oddziaływania jasnowidzącego frazesu.

W suggestywnej więzi prognostyku: Czekaj, aż bzy zakwitną, strzeż się kaprawej blondynki, na drodze twego życia stoi brunet w szafirowych pończochach, dzieci masz narazie głupie, ale już wkrótce będą genialne.

Nikogo nigdy w życiu tak nie słucha i słuchać nie będzie, ani doktora, ani księdza, ani męża, ani modniarki. „Co jest, co będzie, co się stanie, coś podeptała nogami” — wywodzi dalej wiedźma i zasiewa w słuchającej ją głowinie komunały, które potem stanowią będą naczelną treść życia tej głowiny. Horoskop powie wszystko, trzeba go tylko dobrze zapamiętać. I mieć go przytomnie w świadomości w każdym terminie życia. Niedawno obserwowałem z głębokim współczuciem kobietę, która otrzymała nagłą wiadomość o groźnej chorobie męża. Jak przystało na kochającą żonę, najpierw zmieniła się w posąg bólu, a potem zemdląca. To było piękne. Z uszanowaniem patrzyło całe towarzystwo na wylew uczuć dobrej małżonki, która rzekła potem otrzeźwiawszy: „Ach, Boże, jaka ja jednak jestem głupia! Całkiem zapomniałam o horoskopie. Przecież on umrze dopiero za dwa lata!” I jęła przeproszać obecnych za swoje nieznośne roztrzepanie.

Czasem ani się człowiek spodziewa, jak i na niego także spłynie, za sprawą kabalarki, nieoczekiwane dobro i błogosławieństwo. Zdarzyło mi się to w czasie wakacji. W oczach pewnej pani, której właśnie zostałem przedstawiony, uderzył mnie dziwnie życzliwy błysk i spojrzenie, pełne szczerej, szczodrze kredytowanej wdzięczności.

- Pan jest chudy i blondyn — rzekła dama jakby na usprawiedliwienie — a w moim horoskopie powiedziano, że poznam w sierpniu chudego blondyna, który wyświadczy mi w życiu wielką przysługę.

- Czyżbym istotnie zrobił na Pani tak wielkie wrażenie?

- Nic podobnego, miły przyjacielu. Pan jest blondynem, jak powiedziałam. Wrażenie robi na mnie kto inny, będzie to, wedle horoskopu, zażywny brunet, ale on przyjedzie dopiero w połowie października!

I tak ona czeka na bruneta, a ja dotąd mam kłopot, bo muszę myśleć, jakąby to „wielką przysługę na całe życie” wyświadczyć przyjemnej pani . . . ? A wszystko to nie jest nawet takie drogie. Za pięć złotych wiedzą wróżki, co było, za dziesięć wiedzą, co będzie. Czytają z wyrazu oczu, z linii ręki, z damy karo, z talmudu, z przyniesionego listu, zwitku włosów, z fotografii, z ogryzków paznokci, ze spoczonej chustki do nosa. Dają diagnozę teraźniejszości, odgadują przeszłość, stawiają horoskopy na przyszłość. Na miesiąc, na dwa, na pół roku. Rozdają inkluzy, talizmany i lubczyki, kunsztownie spreparowane. Jeszcze bardziej kłopotliwych sposobów na miłość i szczęście udzielają, wśród dość skomplikowanego rytuału, czarownice, które od niedawna pojawiły się w Warszawie. Lecz dostać się do nich trudno, a taryfę mają dolarową. Wróżki są dziś dyrygentami epoki, chiromanci sprawują rząd dusz, kabalarki rządzą tłumem. W ich ręku spoczął ster i naczelne, chociaż niewidzialne kierownictwo życia. Stały się dziś nieodłącznym, codziennym atrybutem życia inteligencji, tak jak fryzjer, kąpiel, kino lub manikiurzystka. Możliwe nawet poniekąd zaryzykować twierdzenie, że w życiu kobiety wróżka ważniejszą jest od krawcowej.

Rozmaitego rodzaju, tuszy i konduity. Brudne wiedźmy i śliczne panienki, garbate i sparaliżowane, urocze i napudrowane. Panowie i panie. Pracunki, radczynie ciotki i profesorowie obojga magji. Mały żydek, kiwający się nad talmudem, albo opasła baba w lochu suteryn. Albo rosyjska hrabina (konwersacja wyłącznie francuska), płacąca w Warszawie 60 zł dziennie za pokój z łazienką w hotelu. Jak muchy do miodu, pędzą damy do hotelu. Bo przecież, moja droga, gdyby to się nie sprawdzało, to skąd onaby mogła płacić 60 zł dziennie?

Śmieją się ludzie z tego wszystkiego i lekkomyślnie czynią, śmiejąc się. Jabym się tam nie śmiał, bo to naprawdę są u licha jakieś niesamowite sprawy, wstrząsające odwiecznymi imperatywami bytu. Bo gdzie kto kiedy słyszał np., żeby kobieta rozstała się z swą biżuterją? Teraz zaś zdarza się coraz częściej. „Pani nie będziesz nosiła tego rubina, nie!” mówi wróżka. I pani nie nosi tego rubina, nie. Pod wpływem jasnowidzącej wróżby potrafi nawet kobieta, ale to już rzadziej, wyrzec się noszenia jedwabnych pończoch i z bohaterską skromnością poprzestaje na półjedwabnych. Bo skoro — tak rozumuje — całe jedwabne przyniosą mi nieszczęście, to pół jedwabne może tylko pół-nieszczęścia, a z tem dam sobie jakoś radę.

Rola wróżbiarstwa nadaje współczesności naszej pewne szczególne piętno. Ludzkość żyje w stanie podgorączkowym, ma przyspieszone tętno, czasem bredzi i majaczy. Rzym starożytny przed upadkiem siedział także u wróżek, u takich samych wróżek i Paryż przed rewolucją i

Polska XVIII. stulecia. Nie powiem jednak, żeby te analogie były szczególnie przyjemne!

Wróżki są wszechmocne. "Daj mi punkt zaczepienia, a poruszę ziemię," rzekł Archimedes. Dajcie mi moc stu wróżek, a poruszę Polskę, bo one i tylko one potrafią zrobić przewrót w mózgach i zdziałać, gdyby zechciały, w szerokich masach to, czego nie potrafi zrobić książka, dziennik, ambona i sąd!

Wróżki są to istoty mądre. Liczą bowiem na głupotę ludzką, a jeszcze nie przegrał w totalizatora życia ten, kto na nią postawił.

Na zielonej trawie

Przed moimi oknami było wczoraj wielkie zbiegowisko. Zlecieli się zewsząd ludzie, aby oglądać krowę, która wariowała. I to dość nagle, na ulicy. Z początku do rogatki szła zdrowo i spokojnie. Gdy zaś weszła do miasta i zachłysnęła się kurzem Neumana, gdy ujrzała straszliwie ryczące Fordy i całą marność urbanizmu, dostała napadu szału. Stanąwszy na tylnych odnóżach, zaczęła ryczeć, potem zaryła się melancholijnie racicami w rynsztok przyuliczny i wreszcie powiedziała sobie, że nie pójdzie dalej. Stwierdziłem, że nie prowadzono jej wcale na rzeź, tylko do obory w mieście, mimo to żadna siła nie była w stanie ruszyć krowiny z miejsca. Po długich wysiłkach okutano łeb nieszczęśnicy czarnymi szmatami, spętano za rogi z dwiema innymi krowami i popędzono w miasto przemocą.

Patrzyłem na to wszystko z głębokim i tkliwym współczuciem. Bo ta krowa miała zupełną rację, nie chcąc w lecie zmieniać obory wiejskiej na miejską. Lato nie jest po to, aby siedzieć w mieście. Ta krowa to my wszyscy. Stajemy na tylnych łapach, zaczynamy ryczeć, uciekamy, i tylko konieczność, zarzuciwszy nam na łeb czarną szmatę obowiązku, zmusza do powrotu i pozostania.

Lipiec stworzył pan Bóg po to, żeby się cieszyć makiem w zbożu i jarzębiną w lesie, żeby wypuszczone z kazamat miejskich oczy porozrzucić po łanach zboża, żeby miast po parkietach pokoju deptać po ścieżce leśnej, i tłuc wiosłami szybę jeziora, w którym przegląda się twarz gorącego lata, a cały mózg przemienić w szumiącą łąkę, i usiąść nad brzegiem rzeki i liczyć za wzorem „Fantasia” Mussetowskiego płynące fale: jeden, dwa, trzy, pięć, ośm; dziesięć.

Bo zaprawdę, po stokroć przyjemniej jest kąpać się do syta w karpackim Dunajcu, aniżeli w lwowskim Aleksandrowiczu, który urzęduje tylko przez kwadrans na dobę.

I milej wsłuchiwać się w pogwarki szypotów rzecznych, niżeli w potępieńcze jęki magistrackiego wodociągu, który wyjąc natrząsa się jeszcze z człowieka, daremnie kręcącego kurkami w łazience.

To samo powie wam zresztą wyraz wszystkich oczu kobiecych. Przy pewnej wprawie można bowiem tych miłych przyborów używać także jako kalendarza. Krótko i dobitnie jest tam zawsze wypisane hasło sezonu i tęsknota dnia. W styczniu mówią oczy kobiety: „tango”, w lutym: „murzyn”, w marcu obowiązują kapelusze ze słomki, w lipcu kapelusze z filcu. Niedawno patrzyłem z nabożeństwem, jak roziskrzona oczęta miłej pani obejmowały przepyszny łan dostajej pszenicy, obok której właśnie przejeżdżaliśmy.

— Perły! perły! wołała rozmiłowana widokiem kłóśnych zbóż, a ja podziwiałem zarówno niezwykłą jej wrażliwość na bogactwa ziemi naszej, jak i bystrość kolorystycznej obserwacji, bo łan pszenicy skapany w słońcu można ostatecznie, od nieszczęścia, przyrównać do roztopionej, gigantycznej perły.

— Futra! Futra! wołała dalej dama i to mnie już trochę zastanowiło, wobec widocznego braku podobieństwa między futrem i kłosem.

— Dlaczego właśnie futra? spytałem nieśmiało.

— Jak to dlaczego? Dlatego, że perły i futro kupi mi mój mężulek, gdy tylko sprzeda swoją pszenicę. Ach panie, jak jak lubię futra!...

Te futra przypomniały mi o molach, mole skojarzyły się z naftaliną, naftalina z szafą, szafa z biurkiem, nad którym wędnie mózg, obity patykiem kanikuły. I uciekłem na trawę.

Jest nas w ogóle troje: słońce, trawa i ja. Po nosie łązi mi biedronka, po karku jakaś inna mrówka. Bardzo nam razem dobrze. Najpierw dlatego, bo ta trawa leży daleko, pięćset wiorst od cywilizacji, pięćdziesiąt od kolei, a dziesięć od ludzi w ogóle. Po wtóre dlatego, bo jest zieloną trawą, t. zn. nie ma nic wspólnego ani z szarą kamienicą, ani z białym papierem, ani z czarnym atramentem. Przyjemność niewysłowiona, której żadnym piórem nie opisze, chybaży kłóskiem żyta na kapuścianym liściu. Ale i tego mi się nie chce. I oto jest najważniejsze,

decydujące i zasadnicze słowo, hasło i parol dnia, wypisane powszędy na nieboskłonie, na powietrzu, na czarnej ziemi, na skrzydłach milczącego wiatraka: Nie chce mi się, nie chce mi się! w ogóle niczego. Co najwyżej zanurzyć się po szyję w bezwładnym lenistwie i utyłać się w beztrosce. (Beztroska będzie udana, ale trawa o tym nie wie). Skoro się jednak gdzieś przyjedzie, trzeba się przynajmniej rozpakować. Najuciążliwszą rzeczą jest dla mnie zawsze rozpakowywanie tych wszystkich myśli, które się z sobą przywiozło. Wiadomo, wlecze ich się zawsze za człowiekiem cały tabor, cały dywizjon taborów, uprzykrzony, natrętny. Wypadałoby je tedy rozpakować, przewietrzyć, ułożyć. Tymczasem ani mi się śni. Położyłem się na trawie i nie mam wcale zamiaru jąć się tej pracy. Nie zacierając do środka, wyrzucam cały bagaż z mózgu. Idźcie sobie, wynocha! Te myśli co są smutne, niech się tam gdzie na polu pocieszą, te co utrapione, niech mi się nie ważą wracać bez uśmiechu, a te co paskudne, niech zdrowe pozdychają.

Leżę i patrzę, jak sobie poszły. Została tylko jedna, głupiotka. Lecz wkrótce i ona także ucieka mi w proso. Pit pi-lit! Nie będę jej łapał. Nie chce mi się. Bo my tymczasem, ja, trawa i słońce, wyścielimy sobie pustą mózgownicę ślicznym chwastem wsiowym i wymościimy zielskiem rozmaitym. Będziemy myśleć inaczej. wyłącznie na zielono! Wyłącznie na zielono!

Słoneczko grzeje „sielnie.” Czuję jak podnosi kłosa żyta, pochylonego przez wczorajsze deszcze, i czuję, jak mnie rozkleja. Rozmaite chmurki płyną sobie po niebie i układają się ściśle tak, jak im przed stu laty nakazał pan Mickiewicz w "Panu Tadeuszu." Co spróbuję myśleć, to mi słońce przerywa, a trawa mówi: sza! Najmniejsze, nawet błahe myślatko urywa się w połowie, i wcale nie myśli zostać dużą myślą i przestaje istnieć, zanim przyszło na świat:

Zdaje mi się, że ja jestem kobietą, a promień słońca jest niedozwolonym rękoczynem ginekologa, który zabija, jak to się dziś mówi okrągło, „kiełkujące życie.” Leżę i patrzę, jak powiedziano wyżej. Lasek, hreczka, piasek, potem buraki, znowu hreczka, potem znowu lasek. Za tym laskiem jedzie linijka panienska. Może Pan Bóg da, że tu do nas nie przyjedzie! . . . Tuż obok mnie, na lewo rozpiera się i szumi rzecz inna, rzecz najprześlicniejsza. Uosabia siłę, bogactwo, rozkosz bytu. Ciężka, muskularna, obfita. Słania się, dyszy radośnie. Czeką rozwiązania. Ma bukiet maków na dorodnej piersi. Ostrzyżona "à la garçonne," zdrowo opalona na miedziany kolor. Kreolka naszych pól, królowa naszych zbóż: pszenica, pszenica, pszenica! O, kobieto! o! Naśladujesz rozmaite nieprzyzwoite rzeczy w przyrodzie, a gdybyś tak raz spróbowali wziąć jako ideał pszenicę? Mówiliby ludzie: Dorodna, obfita, muskularna, jednym słowem: pszenka! I szumiałabyś sobie; ślicznie na miedziany kolor opalona. Słońcem, nie czarnym pudrem. I nie do tapety podobna, lecz do razowca. Po łanie pszenicy biegają wiewy poranka. W takt ich zaczynają szumieć ciężkie kłosa. Szumią powoli, jak wielkie damy, wyniośle. I dumne z urodzaju zdają się szeleścić: I co z tego, i co z tego, i co z tego! Na prawo ode mnie rozpiera się łan żyta, które właśnie doszło i już rozpoczęło umierać cicho pod nożami żniwiarki, aby potem zmartwychwstać w półkolkach. Żniwiarka wymachuje rękami. Terkoce, zrzędzi i rżnie. Tańczą wachlarze, tańczą dziewczyny, konie i ekonom. Strasznie śmieszny jest ten ekonom, aranżer dancingu w życie. Ma o tyle za długie nogi, o ile za krótkiego konia. Myszata konina pęta mu się w między kroczu. Wygląda tak, jak gdyby chodził konno. Lasek, hreczka, buraki. A pod burakiem siedzi pędrak i żre. Liście kładą się na zagonie, omdlałe z bólu. Burak umiera. „Uważajcie, bo serce stłuczone” mówi gdzieś Sully Prudhomme. Uważajcie, bo burak zjedzony. To gorsze. Ten żarłoczny rabuś, który wgrzył się bez ratunku w biust buraczany, ma białe rozdęte cielsko i paskudną, kleistą, żółtą głowę. A kiedy go przychwycić po wyrwaniu buraka i zdemaskować, łypie oczyma jak rzeźnik i śmieje się cynicznie. Drugi taki zwierz nazywa się skoczek sześciorek. Ten pracuje w życie. Robi to samo, co pędrak, ale po cichu, nie rzucając się w oczy. Nie znam zapatrywań pędraka i skoczka i nie wiem, który z nich należy do „Wyzwolenia” a który do mniejszości narodowej. Tymczasem panienska przecież przyjechała linijką. Tam jest także troje: linijka, konik i ona. Myśl o paniencie ugryzła mnie w serce. Jak to dobrze, że nie jestem liściem buraczanym, musiałbym zaraz zwiędnąć. W ogóle linijka na giętkich resorach, dobrze wyścielona, to wehikuł milutki, a panna na linijce, zajęta pilnie powożeniem, to jedna z tych form, w których kobiecość wydaje się rzeczą przyjemną. Siadłszy okrakiem na linijce, poza słodkim furmanem, możesz jej gadać, co się zamarzy, a kobieta nic ci nie zrobi, bo nie może przecież wypuścić lejców z rąk.

Mimo to dylemat, który w tej chwili powstał: trawa czy kobieta? zostaje rozstrzygnięty na niekorzyść tej ostatniej. Linijka odjechała. Zostałem na trawie. Lecz i „dolce far niente”

skończone. Już nie mogę nie myśleć. Tysiąc kłopotów, wątpliwości, trosk, zapytań lęgnie mi się w mózgu i zasnuwa czarnym welonem zieloną beztroskę poranka. Wątpliwości, kłopoty przeróżne. A więc: wczoraj wieczorem kura zniosła bardzo dziwne jajko. Malutkie, całkiem inne, brunatne, słowem: ostatnie na pożegnanie. Więcej już nigdy jajek znosić nie będzie. Bardzo mi przykro. Maki na Wołyniu mają odrębny rodzaj purpury. Nie wiem dlaczego są czerwiesze od wszystkich innych w Polsce? I także nie wiem, gdzie szukać mrówczych jajek. Rzecz jest pilna, bo jeśli ich dziś nie znajdę, to dwa ostatnie pisklęta kuropatwy, które wczoraj przyniesiono z pola, zginą. Stara kokosz ani myśli zaopiekować się nimi. Cztery już zdechły. Podejrzewam, że nie bez przyczynienia się ze strony kokoszy.

W ślad za linijką przybiegła Żmijka. Obwąchuje mnie starannie i po raz trzeci z rzędu czyta z ogromnem zajęciem list, który na mojej skarpetce wypisała we Lwowie jej rodzona, bliźnia siostra Myszka. Siostry nie widziały się od lat czterech. Myszka, moja ukochana jamniczka, jest w każdym calu suczyną z miasta, czyli innymi słowy: istotą przedwcześnie zestarzałą, zdenerwowaną, gorzką. Kłębek nerwów niespokojnych, warjatka. Najwyższe jej marzenie to szczur w piwnicy. Kiedy teraz patrzę na Żmijkę, która nigdy ze wsi nie wyjrzała, widzę całą przepaść różnicy. Spokojna, zdrowo-głupia, zrównowazona, dorodna i czarna jak heban! Używa życia bujnie, szeroko, z kurą i polnymi myszami. Zmęczone oczy i siwa mordka mojej Myszki; która została we Lwowie, mówią mi, że miasto jest w ogóle barbarzyństwem i ósmym grzechem głównym. O, co. Problem zasadniczy. Tymczasem dokonał się straszliwy mord. Noże żniwiarki obcięły skoki i słuchy zajacowi, który sobie w życie spał. Z pomiędzy ofarbowanych ramion wyciąga fernal kadłubek tego zajaca i śmieje się. Jakoś bezmyślnie i głupio. Djabli go wiedzą, co on tam w środku myśli. Leżę, patrzę i nurzam się w lenistwie. Żniwiarka macha rękami w powietrzu, pszenica dojrzewa. Ekonom chodzi konno po polu. Myśl, co uciekła w proso, nie wraca. Pit pi-lit. Po południu czeka mnie wielka przyjemność. Będziemy podbierali pszczołom miód. Słoneczko grzeje. Dobre słoneczko. Przedtem mnie rozkleiło, teraz skleja. Oczy do snu skleja. Ramiona żniwiarki wydają się dźwignia maszyny drukarskiej, a poganiacz coś mówi do chudego konia. Po nosie łązi mi biedronka, po karku jakaś inna mrówka. Jest nas tu w ogóle troje: słońce, trawa i ja.

Po południu na wsi. Drewniany kościółek, stareńki już bardzo, już aż popielaty i zielony ze starości, jest zamknięty, mimo to z twarzy ks. proboszcza widać, że będzie jakieś ważne nabożeństwo. Zaczął się odziewać, jakby do uroczystej celebry. Zakocił dziwacznie starą, zieloną ze starości sutannę, na głowę włożył siatkę drucianą, rękawy obwiązał powrózłami, potem wziął do rąk dymiący podkurzacz, z którym właśnie przydreptał przed chwilą organista. Widzę, że we wszystkim, co tu jegomość z organistą czynią i co czynić będą, jest jakaś przedwieczna moda i obowiązujący uroczyście obyczaj. Bo też to, co się za chwilę rozpocznie, jest przedwieczne, starsze od wszystkiego, od tych tatarskich lochów, które biegną pod kościółkiem, od niego samego, od księżej sutanny w ogóle, od Polski, słowem od wszystkiego, nawet od łanu pszenicy starsze i od drzew owocowych w sadzie. Najdawniejszy obrządek, dawny, jak ziemia, kwiaty i człowiek. Święto lata. Miodobranie. Poszli obaj, jegomość z organistą, także samo przyodzianym, do pasieki, zanu rzyli się w fale dziwnego pobrzęku, obchodzą małe domeczki, czyniąc coś przy każdym z nich. Wynoszą złotolśniące ramki, otrzepują je najtroskliwiej, aby snać nie urazić pilnych pracowników, aby nie uczynić szkody białym żywotom na plastrach, z których wynijdą młode księżniczki. Nie spieszą się, mają czas. Pa sieka jest malutka, ulów w niej tyle, ile apostołów. Potem wkładają ramki do wielkiej beczki, miodarki. Zgrzyta zardzewiała korba, przyrząd z czasów króla Ćwieczka, ramki wirują. Czarne ściany miodarki błyszczą, jak asfalt po ulewie. Skropił je szybki, rześisty, złoty i wonny deszcz miodu, posikującego z plastrów. Pachnie. Poszerza się naokół ten zapach śliczny, najmiłszy, z niczym nieporównany. Tak chyba pachnie z bliska słońce i radość. Tak pachnąc musiało u Piasta, kiedy doń przyszli aniołowie. I taki zapach miała Rzepicha, kiedy była młoda. Choć to jest tysiące wiorst od Gopła i tysiące lat, widzę ją. Szczerzy białe jak rzodkiew zęby i śmiejąc się, przekomarza się z niebieskimi gośćmi. I czemuż Anatol France urodził się w Paryżu, nie zaś w Polsce? „Wyspa pingwinów” wzbogaciłaby się motywem Kruszwicy, do „Buntu aniołów” przybyłyby dacie nowe postacie. Stężona woń polatującego z plastrów miodu jest kroplą wody styksowej i po zwala, a nawet

rozkazuje zapomnieć o wszystkim innym, o wszystkim, co nie jest ulem, barcią, miodem i pszczołami.

Mało wiem z tego wszystkiego, co się tu dzieje i brzęczy. Nic nie wiem o pszczołach. Celebrans święta lata, ks. proboszcz nie powie mi i nie objaśni, bo jest zajęty. Znam pszczoły tylko ze słyszenia, z tego co mi o nich opowiadał twórca "Niebieskiego ptaka," sam też lazurowy Maeterlinck.

Maurycy Maeterlinck patrzył przez trzydzieści lat w szklany ul z firankami i myślał długo, jaki by to wspaniały poemat z życia pszczoł stworzyć. Myślał i wreszcie prostym, najprostszym słowem opisał to, co w ulu widział. Któż nie zna „Życia pszczoł”?

"Przez pszczoły dochodzimy do zrozumienia szczęśnych chwil, jakie nam daje przyroda. Temu, kto je zna i kocha, lato bez pszczoł wyda się smutne i tak niepewne, jak gdyby nie wydało na świat ptaków i kwiatów."

Tak mówi Maeterlinck. I dalej jeszcze: "W imię czegoż to sto tysięcy dziewic podejmuje dobrowolnie takie brzemię pracy, jakiego by nie uniósł żaden niewolnik człowieczy pod razami bata. Dlaczegoż to wyrzekają się pszczoły snu; rozkoszy miodu i wywczasów brata swego, motyla? Mogłyby przecież żyć jak on. Nie popędza ich do pracy głód. Na pożywienie starczą każdej dwa lub trzy kwiaty. Czemuż tedy oblatują dwieście do trzystu kielichów, gromadząc skarby, których słodycz pozostanie im zupełnie nieznaną?"

Nie wiem w imię czego, nie wiem dlaczego: Nie znam w ogóle pszczoł. Ale wiem, dlaczego nie wiem. To jest bar dzo chytra intryga. Intryga tramwaju, pudru, telefonu, intryga brylantyny i kaloszy — intryga karłowatej cywilizacji. To ona uczyniła tak, aby człowiek nie wiedział o tym, co się dzieje w ulu. Dlaczego tak brzydko uczyniła? W własnym, dobrze zrozumianym interesie. Bo się wstydzi swojej małości i mizerii, bo nie chce ujawiać swej niższości, bo nie ma się czym pochwalić.

Uczestniczę dalej w świątecznej uro czystości na czas lata. Słychać zewsząd gorączkowy pobrzęk pośpiechu: Zadyszane, zwinne, pracowite istotki śpiewają społem hymn na cześć słońca i wysiłku. Pięćdziesiąt tysięcy pracujących dziewic. Śpiewają i przepowiadają sobie zasady swojego światopoglądu, powtarzają prawa pszczelej konstytucji, która przewyższyła granice moralności człowieczej i wzniosła się na poziom tak wysoki, że ani marzyć ludziom o jej naśladowaniu.

Śpiewają, że najwyższą radością istnienia jest wyężona; aż do poszarpania skrzydeł praca, a najśłodsza uciechą, uciecha gromadnej, bezosobistej ofiary. Śpiewają o tym, że nie może być wielkiej miłości tam, gdzie nie ma wielkiej poezji, więcej jeszcze, że dopiero ten, kto się najwyżej ku słońcu wzniesie, uprawniony jest do ubiegania się o prawo miłości: (wszystko to wam bliżej wy tłumaczy, biegły komentator pszczelej konstytucji, Maeterlinck).

Śmierć trutniom, które się opily miodem, śpiewają dalej pszczoły, a cześć, najwyższa cześć królowej, bo ona jest reprezentantką serca, pozostającego w ulu pod władzą rozumu, bo ona jedynie podejmie lot miłosny ku słońcu.

Życie pszczoł jest pieśnią, symfonią słońca, barw i szczęścia, a życie człowieka. Prawo rasy pszczelej wiedzie je ku radosnemu zadowoleniu, a prawo rasy ludzkiej...

„Apis apidi homo" pszczoła pszczole człowiekiem — mówią zapewne pszczoły wówczas, gdy się znajdują same po za ulem i jego ustawą. Gdzież jest na świecie taki gromadny szal poświęcenia, który w ulu władnie córkami słońca? Gdzie tak niesłychane poczucie ofiarności; żeby w imię jakiegoś wyższego nakazu odbiec nagle swoich skarbów i zostawić je na użytek innym? Pszczoły brzęczą, cywilizacja wstydzi się. Spokojna jest; bo zdołała wmówić w nas, że to sprawy błahe i mało znaczne.

Czy nie uważacie państwo, że pszczoły są tendencyjnie i systematycznie pomijane w prasie; w gazecie, w kinie? Nie tylko nie robi się im żadnej reklamy, ale w ogóle nie wspomina się o nich wcale. Czy nie uważaliście, że w gazetach nie pisze się nigdy o tym, co robią dobre i pilne córki słońca, a zawsze do sytu i przesytu o tym, co robią źli i leniwi ludzie. To wszystko płynie z intrygi.

Chodzi Emil Zegadłowicz po beskidzkich wierchach i między różne powsinogi, aby wyzwolić poezję obecną z brudnych powijaków urbanizmu, z zatęchłych szmat szablonu, a czemuż nie pójdzie do ula, moiściewy? W ulu jest tysiąc porad i lekarstw rozmaitych, słodkich i słonecznych. Jedne na neurastenię, drugie na histerię, trzecie na kobietę. W ulu jest tysiąc porad, ale my; za miast pszczoł; wolimy naśladować robaczki świętojańskie. Dlaczego panny nie zajmują się ulami? Można by przecież obmyślić śliczny i oryginalny model

kostiumu na miodobranie.
I w ogóle gdybyśmy więcej dbali o kultywowanie cech narodowych, płynących z najgłębszej
głębi naszej rasy, byłyby już w ogóle dawno jakieś narodowe święta pszczół, osadzania rojów,
ciągnięcia miodu. W ogóle.
Choć to z drugiej strony lepiej, że ludzie nie zajmują się pszczołami, bo potem, w miarę
postępu wynalazków, mogłoby się zdarzyć tak, pewnego pięknego poranka, że ludzie zajęliby
miejsce pszczół w ulach.
Ładnie byłoby, no! Gdyby tak nagle dziesięć tysięcy ludzkich dziewcząt skupiło się w jednym celu,
na jednym, ograniczonym miejscu!! Najpierw zakłułyby żądłami królową, a ta królowa nie
czekałaby wcale na chwilę lotu miłosnego w słoneczne wyże i nie dokonywałaby wyboru
kochanka, jednego z tysiąca, w niedostępnych chmurach, lecz puściłaby się zaraz na miejscu w
ulu, z pierwszym z brzegu trutniem w buduarze. Wolno by jej było, bo to przecież królowa.
Gdyby ludzie byli pszczołami!... Zaczęliby naprzód narzekać na położenie geograficzne pasieki,
wprowadzili ośmiogodzinny dzień pracy, potem wybuchnąłby strajk, potem sprzedaliby pasiekę
brodatym trzmielom mojżeszowym, potem zrobili ugodę z trzmielami. Bardzo rychło znudziłoby
się im naturalnie żmudne szukanie kwiatów po łąkach. Zaczęliby produkować miód fałszywy.
Na końcu, ule pożarłyby się między sobą i miodu na świecie nie byłoby w ogóle.
Gdyby się naród pszczeli zamienił z narodem polskim, w Polsce byłoby dobrze i słonecznie, ale
źle i smutno działałoby się w ulu. Anatol France zapewnia, że czas pszczół i w ogóle owadów
przyjdzie jeszcze i oładnie światem ludzi.
Tymczasem na zielonym ze starości kościółku położyły się późne, przedzachodnie promienie
słońca. Dzwonnica przeżegnała się i jęła obwieszczać Anioł Pański. Ksiądz proboszcz zdjął
maskę i wyjął brewiarz. Wyrazu twarzy nie zmienił. Modlił się tak, jak przedtem, w pasiece.

*

[Są to fragmenty książki: S. Wasylewski, *O siedmiu duszach kobiety. Impertynencje współczesne; Zerwana kokarda*; Nakładem Wydawnictwa Polskiego, Lwów-Poznań 1925.]

Nota biograficzna: WASYLEWSKI STANISŁAW (1885-1953), pisarz i historyk; 1905-10
pracownik Ossolineum we Lwowie, 1927-39 związany z Poznaniem; współpracownik i red.
wielu pism i wydawnictw; szkice lit. z dziejów pol. obyczaju i kultury, m.in. U księżnej pani
(1917), Na dworze króla Stasia (1919), O miłości romantycznej (1921), Klasztor i kobieta
(1923), Portrety pań wytwornych (1924, wyd. 2 1930 pt. Twarz i kobieta); monografia Życie
polskie w XIX w. (1962); powieści hist. (Ducissa Cunegundis 1923), felietony (Na końcu języka
1930), wspomnienia: Pod kopułą lwowskiego Ossolineum (1958), Czterdzieści lat powodzenia
(1959), Wspomnienia i szkice znad Warty (1973). [MNEP]

Podobna tematyka na: [Informacje o Wasylewskim](#)

(Publikacja: 25-02-2004 Ostatnia zmiana: 19-10-2008)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3260) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3260>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach
komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie
niniejszym wszelkie prawa, przewidziane
w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym,
w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych
do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne
programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do

okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl